



JAN BEŁZKI

St. strzelec Jan Bełzki ur. w 1896 r. w Potoku Górnym, pow. Biłgoraj, woj. Lublin, żonaty, żona Maria, lat 40 i czworo dzieci, a to: Leokadia, lat 17; Czesława, lat 16; Aleksander, lat 13 i Czesława, lat 10.

Jako osadnik wojskowy 10 lutego 1940 roku zostałem wywieziony z żoną i dziećmi z Łucka, ze wsi Skurcze. Nie dali niczego wziąć z najpotrzebniejszych rzeczy na drogę, o głodzie jechaliśmy z dziećmi do najbliższej stacji kolejowej, Nieświeża. Stamtąd jechaliśmy w brudnych i ciemnych wagonach towarowych, jak zwierzęta, przeszło cztery tygodnie do archangielskiej obłasti. Nie dali nam jedzenia ani wody, której tak potrzebowaliśmy z powodu długiej i uciążliwej jazdy. Z braku tej wody dziatki zdrapywały lód z wagonów i w ten sposób gasiły pragnienie. Bardzo wielu w tej drodze pochorowało się i wielu nawet zmarło. Byliśmy na posiołku Jagużel [?], mieszkając z dala od osiedli ludzkich, w lasach nieprzebytych i bagnach. Tam ścinałszy drzewa różnego gatunku i z tego utrzymywaliśmy się. Zarobki były bardzo marne i z braku sił nie wypełnialiśmy ustalonej normy, wskutek czego sprzedawaliśmy wszystko, co tylko posiadaliśmy – ubrania itd. Było nas tam około 150 rodzin polskich. Największą bolączką była zła droga i dlatego często nie mogli dowieźć nam żywności, dlatego odczuwaliśmy głód i nędzę. Zdawało się nam, że już z tych lasów nigdy nie wyjdziemy, a do tego jeszcze straszliwi, że nigdy nas stamtąd nie wypuszczą i opowiadali nam, żebyśmy się pożegnali z naszą Polską, bo w rajach bolszewickim było zawsze i będzie najlepiej, z czego zawsze szydziliśmy i naśmiewaliśmy się. Spodziewaliśmy się jednak i wyczuwali, a także wierzyliśmy, że jednak nas Bóg nie opuści. Szkołę mieliśmy tam, tylko uczono wyłącznie po rosyjsku, po polsku zabraniali. Mimo to my staraliśmy się sami uczyć po polsku. Również modlić się nam wzbraniłi i wyśmiewali nas, jeśli u kogoś zobaczyli krzyżyk lub medalik.

Co do warunków higienicznych i zdrowotnych to przedstawiały się fatalnie i okropnie. Jakiegoś tam lekarza „partacza” mieliśmy, który zawsze mówił, że jesteśmy zdrowi i powoli do wszystkiego, nawet do tej biedy sowieckiej „się przyzwyczaimy”.

Byliśmy tam aż do naszego zwolnienia (amnestii). Gdy dowiedzieliśmy się, że nas wypuszczą stamtąd, to czym prędzej [uciekliśmy] na piechotę, z dziećmi, po śniegu 65 kilometrów. Wielu z nas odmroziło uszy i nogi, a nawet w tej wędrówce wielu zmarło. Cieszyliśmy się



niezmiernie w dalszej naszej wędrówce, ale już w wagonach, naturalnie brudnych i ciasnych. Jeździliśmy przeszło cztery tygodnie, zanim dostaliśmy się do Kazachstanu. Byliśmy w Gorozakoni [?] kilka tygodni, później wysłano nas do kołchozu Oktiabr i tam przeżyliśmy najcięższe i najkrytyczniejsze w naszym życiu chwile, a to dlatego, że kazano nam pracować z początku o 300 gramach chleba czarnego, a potem z powodu braku i tego nie dawali. Żywiliśmy się trawą zieloną i korzonkami prawie dwa miesiące, aż do zabrania nas w czynną służbę wojskową.

Jestem od 26 marca 1942 w Wojsku Polskim, żona zaś z dziećmi wyjechała już do Afryki.

M.p., 7 marca 1943 r.